

RZEŹ

HISTORIA
KULTOWEGO
BIEGU

NIKI

Anna
Dąbrowska
Piotr
Skrzypczak



GALAKTYKA

Tekst © Anna Dąbrowska, Piotr Skrzypczak 2016
Copyright © Galaktyka sp. z o.o. 2016

90-562 Łódź, ul. Łąkowa 3/5
tel. +42 639 50 18, 639 50 19, tel./fax 639 50 17
e-mail: info@galaktyka.com.pl; sekretariat@galaktyka.com.pl
www.galaktyka.com.pl
ISBN: 978-83-7579-513-4

Redakcja: *Magdalena Ostrowska-Dolęgowska, Bogumiła Widła*
Redakcja techniczna: *Marta Sobczak*
Korekta: *Monika Ulatowska*
Redaktor prowadzący: *Marek Janiak*

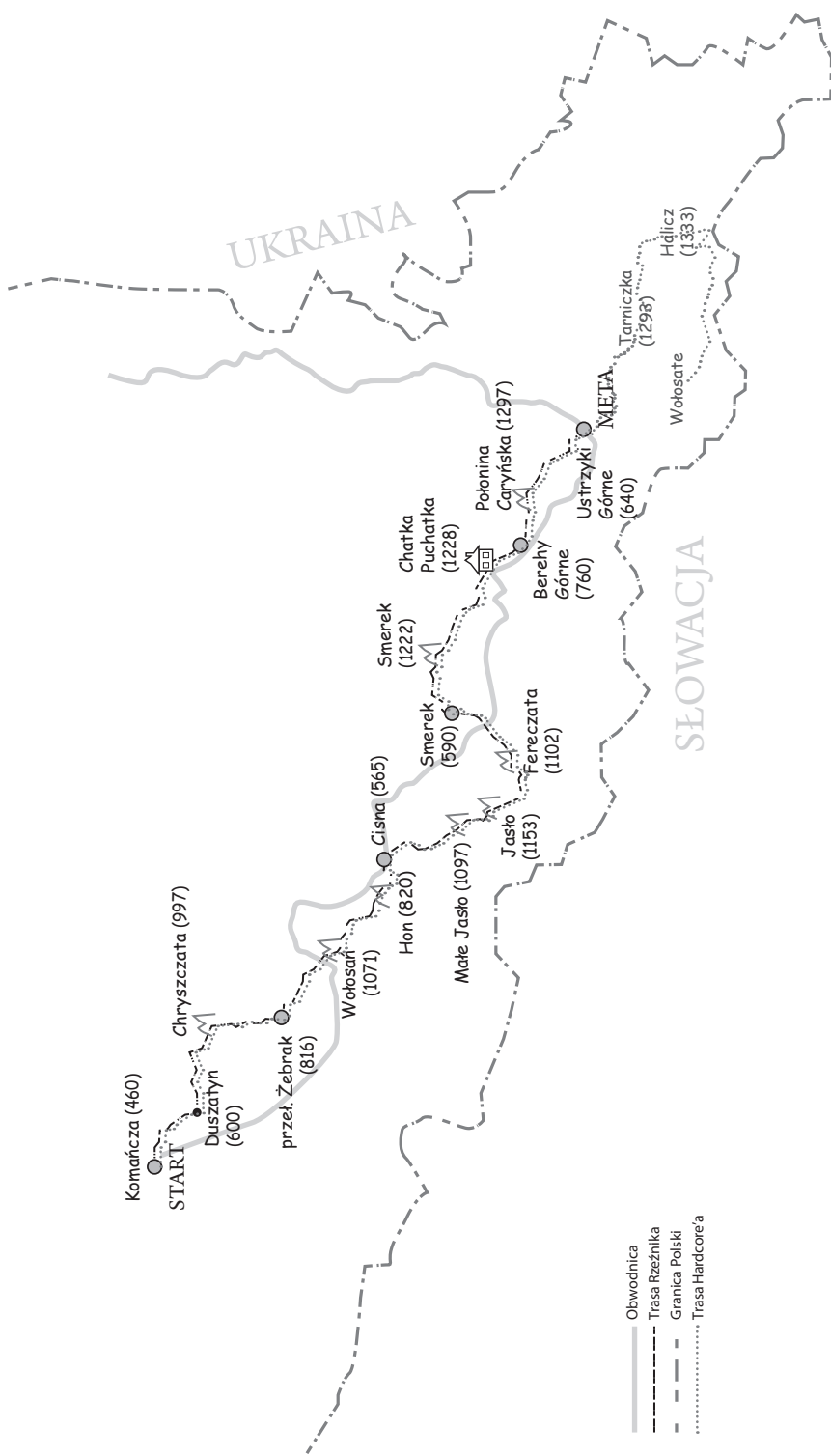
Zdjęcie na pierwszej i czwartej stronie okładki: *Julita Chudko*
Zdjęcie autorów na skrzydełku: *Jolanta Błasiak-Wielgus*
Projekt okładki: *Artur Nowakowski*

Skład: *Garamond, Łódź*
Druk i oprawa: *Drukarnia na Księżym Młynie*

Księgarnia internetowa!!!
Pełna informacja o ofercie, zapowiedziach i planach wydawniczych
Zapraszamy
www.galaktyka.com.pl
e-mail: info@galaktyka.com.pl; sekretariat@galaktyka.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Bez pisemnej zgody wydawcy książka ta nie może być powielana w częściach, ani w całości. Nie może też być reprodukowana, przechowywana i przetwarzana z zastosowaniem jakichkolwiek środków elektronicznych, mechanicznych, fotokopiarskich, nagrywających i innych

Kobietom, by nie bały się próbować.



Szkic trasy Biegu Rzeźnika oraz Hardcore'a

Spis treści

Wstęp	9
1. Narodziny	11
2. Komańcza	35
3. Żebrak	67
4. Cisna	94
5. Smerek	117
6. Berehy Górne	134
7. Ustrzyki Górne	155
8. Wołosate	177
9. Jeszcze dalej...	190
10. Posłowie	206
11. Podziękowania	214

5

Smerek

Tu zaczyna się Rzeźnik

Przebyty dystans: 56,1 km

Wysokość: 590 m n.p.m.

Godzina zamknięcia punktu: 13.30 / 10:30 limit czasu

Do następnego punktu: 12,7 km (Berehy Górne)

Pierwsi zawodnicy pojawiają się tu tuż przed 8.00,

czyli po 4 godz. i 57 min biegu

Być może Ptolemeuszowi, wielkiemu matematykowi i geografowi, wędrowni kupcy donieśli, że na wschód od Germanii jest Sarmatia. A tam „ogromne ludy”: Wenedowie, Gytonowie, Awarinowie siedzą nad Vistulą. Koło góry Karpatos zaś mieszkają Bessowie, lud tracki.

Powstała hipoteza, że nazwa Bieszczady wywodzi się od ludu Bessów, który przybył tu ze słynnej Tracji, znad Dunajca, Morza Czarnego i zamieszkał w srogim klimacie niedostępnych gór. Z innej części Balkanów pochodzi nazwa *bjeska*. Tak Albańczycy określają górskie hale przeznaczone na pastwiska. Byli tu, to pewne. Pasterze z dalekich stron. Przyszli w poszukiwaniu pastwisk właśnie. Latem na wysokich łąkach wypasali owce, zimą schodzili w doliny; docierali aż do lasów Lubelszczyzny i Podlasia. Zimy były ciężkie, długie i mroźne. Nie przywykli do tego.

Ponazywali świat dookoła. Góry obrosłe lasem z pustym wierzchołkiem stały się *kycerami*. Czyżby od szronu – *chiciurâ*, który osiadał na łąkach? Wzgórze opisywali jako *mâgura*. Była też *rafala*, później rafka, co po rumuńsku oznacza silny podmuch wiatru. I *caryna* – łąka.

Ukraińscy górale, Bojkowie, zachowali wołoskie nazwy. I dodali swoje. Wychodząc z *siola* (centrum wsi) ulokowanego w *pryslipie* (dolinie osłoniętej

z dwóch stron górami), po chwili trafiali na *rosohe* (rozchodzące się drogi), stamtąd *rostoką* (ramieniem rzeki) aż do *ustriku* (miejsca zbiegu potoków) i do góry, przez *berdo* (osuwisko górskie), *ceriń* (kawał uprawianej roli, zdobyty wskutek wyrąbania i wykarczowania lasu) docierali na sam *verh* (wierzchołek).

Ludzi wywieziono, nazwy zostały.

* * *

Zaraz po Akcji „Wisła” władze powołały do życia Wojewódzki Komitet Zasiadleńczy. Miał on skupiać ochotników chcących na nowo zasiedlić opustoszałe wsie. Do końca lipca 1947 w wyniku działań komitetu w pustych, wypalonych siołach zamieszkało 13 500 osadników. Zdecydowanie mniej, niż planowano.

Biorąc pod uwagę, że przed Akcją „Wisła” mieszkało na tym terenie blisko 140 000 ludzi, łatwo wyobrazić sobie, jak pusto się zrobiło w Bieszczadach. Kolejni nowi mieszkańcy pojawili się tu w 1951 roku, tuż po korekcie granic. W Bieszczady przesiedlono mieszkańców Sokala, który od teraz należał już do ZSRR.

W podarowanych Ustrzykach Dolnych i okolicy pojawili się greccy uchodźcy, ofiary wojny domowej. W przeciwieństwie do przesiedleńców z Sokala, nie umieli tu żyć. Za zimno, za wilgotno.

W Bieszczady ruszyli leśnicy, budowniczowie, po nich harcerze, kartografowie, podróżnicy. Cichaczem, poza rejestrami przybywali tu uciekający przed prawem, polityką, codziennymi problemami. Pracowali przy wyrębie lasu, budowach dróg. Pojawili się polscy kowboje wypasający bydło na pustych łąkach. Galopujący na oklep, dziarscy, zahartowani mężczyźni o zgrubiałych dłoniach i smagłych twarzach.

W lasach pojawiły się szalasy, przypominające nieco dawne koliby. Zamieszkali w nich hippisi, pustelnicy, leśni ludzie, szukający spokoju albo mistycznego spotkania z Jezusem. Królowie włóczęgów, wagabundowie, żyjący bez prądu, bieżącej wody, *Dziennika Telewizyjnego* i pochodów pierwszomajowych.

Z czasem puste Bieszczady zaczęły obrastać nowymi legendami. Główną rolę odgrywały w nich zakapiory, samozwańczy artyści z długimi brodami, w bluzach z grubego materiału i połatanych portkach, z dzikością w oczach.

Bieszczady stały się przytulkiem łotrów.

W 1962 roku oddano do użytku Wielką Obwodnicę Bieszczadzką, zaczął kursować PKS, pojawili się pierwsi turyści.

Płaskie boli

Piekło ma siedem kilometrów. Jest prawie płaskie. Szare, szutrowe. I ciągnie się w nieskończoność. Nieskończoność absolutną. Mimo biegu zdajesz się nie przemieszczać w przestrzeni.

Nie. Nie tylko podbieg na Jasło czy wejście na Połoninę Wetlińską lub Caryńską stanowią największe wyzwania Rzeźnika. Jest też wyzwanie niepozorne, nieoczywiste, kryjące się w skórze prostego, łatwo wyglądającego odcinka po szutrze i asfalcie dziurawym jak sito.

Droga Mirka. Bieszczadzki „asfalt”.

Tutejsi nazywają ją Drogą na Wietnam. Dlaczego? Dziś już nikt nie pamięta.

Ten siedmiokilometrowy odcinek jest jedynym odstępstwem od czerwonego szlaku na całej trasie Rzeźnika. Mirek nie chciał gnać biegaczy do wsi Smerek, żeby biegli potem kilka kilometrów ruchliwą, asfaltową Wielką Pętlą Bieszczadzką. Ale chyba żaden z uczestników biegu mu za to nie dziękuje, gdy uklepuje boleśnie nogi na niemiłosiernie niekończącym się szutrze.

– Jak się nie jest dość dobrze przygotowanym, to Droga Mirka boli – wyrokuje Kamil Grudzień. – Dobrzy zawodnicy lecą tam poniżej czterech trzydziestu. To kwestia przygotowania organizmu do długich zbiegów. Po szybkim odcinku z Fereczatej trzeba zmusić nogi do biegu. Szybkiego biegu.

Niektórzy mają ponaciągane mięśnie i trudno im się w tym miejscu rozkręcić. Takie wspomnienie ma Jacek Gardener:

– To była mocna nauczka. Kilometr śliskiego zbiegu z Fereczatej zrobiliśmy na puszczonej hamulcach. Przednie mięśnie dostały mocny wycisk. Wybiegliśmy na Drogę Mirka i ledwo zśliśmy!

Jeśli jednak niesiesz ze sobą jeszcze niewielki zapas sił i dobrze odrobiłeś pracę domową na treningach, Droga Mirka pozwoli ci na poczucie wiatru we włosach.

O tym, że nierówna walka z asfaltem się kończy, uświadamiają ci kibice. Ich zagęszczenie wzrasta, im bliżej końca. Czasem pojawi się ktoś na rowerze. Krzyczą: „Już niedaleko!”. Niektórzy chcą płakać z radości, słysząc te słowa, inni szybko uruchamiają taktyczne procesy myślowe i układają sobie w głowie, co zrobią na przepaku.

Ale radość!

Zaraz skręt w prawo. Mostek i strumień. Szpaler ludzi będzie krzyczał ci prosto do uszu. I nawet jeśli z braku sił chciałeś przejść do marszu, teraz nie zrobisz już tego na pewno.

Jeszcze tylko kawalek.

Białe namioty. Stosy kanapek. Pieczone ziemniaki, słone, jakby je wydobyto prosto z Wieliczki. I cola. Cola! Prawie czujesz jej zapach.

Co za szczęście.

W tej jednej chwili nie chcesz myśleć, co będzie dalej. Jesteś tu – 56 kilometrów od startu.

Zostawił ją jeden z biegaczy na stoliku, gdzie stał dystrybutor z wodą i izo, i gdzie wolontariuszki napełniały biegaczom camelbaki.

– Czy mogę zostawić pani tę butelkę? Nie mam siły nieść jej dalej.

– Jasne, postaw tu na stole

– Dzięki.

Po chwili. Kolejna para:

– O rany, cola! Mogę łyka?

– Zostaw i mi, też chcę!

Jej obecność była entuzjastycznie przyjmowana przez kolejne zespoły. Ilość płynu zmuszała jednak do zaostrzenia zasad spożywania – każdy biegacz mógł pociągnąć jeden łyk z butelki. Tym sposobem zdecydowana większość chętnych wzięła udział w degustacji. Dobre wieści o boskim napoju szybko się rozeszły. W większych ilościach cola pojawiła się na I ultraMaratonie Bieszczadzkim. Uśmierzyła kilka wywrotowych żołądków – łącznie z żołądkiem czołówki. Generalnie jej obecności towarzyszył powszechny entuzjazm. Było jasne, że wróci na Smerek w większych ilościach. W myśl zasady, że jak biegacze potrzebują, to trzeba im to dać. Od 2014 roku jest obowiązkowym wyposażeniem na punktach żywnościowych.

Podczas pierwszej edycji nie było tu nic. Dopiero rok później przyjechali rodzice Mirka i Jarka, Anna i Marek ze swoimi znajomymi, by mierzyć uczestnikom czas. Przyjeżdżają co roku od drugiego biegu. Mirek powiedział: „Są potrzebni ludzie do pomocy, sprzęt, trochę pieniędzy, samochód”.

Prowizorka kompletna.

Rozdali wygłodniałym biegaczom swoje kanapki i kabanosy.

Dziś Smerek przyciąga i wabi niczym ziemia obiecana. Nagle, po 20 kilometrach od poprzedniego punktu pojawiają się ludzie: dobrzy i uczynni wolontariusze. Jedzenie jest pyszne, a picie zdaje się trafiać prosto do wysuszonych na wiór komórek. Wszystkich. W całym ciele.

Jeśli byłeś wystarczająco przewidujący i miły sam dla siebie – możesz wreszcie zatopić zęby w szarlotce od babci, zmienić skarpetki na czyste i pachnące albo nakleić plastry na pozdzieraną z pięt skórę. Prosto w twoje ręce trafia bowiem przepak – worek z depozytem, który sobie naszykowałeś i zostawiłeś jeszcze przed startem.

Worek bywa światełkiem w tunelu.

Ratuje skórę, stanowi motywację, jeśli czeka w nim coś pysznego. Bywa, że myślisz o nim przez całą Drogę Mirka. Już ślinka cieknie ci na myśl o kwaśnych żelkach, słonych orzeszkach, a jeśli słońce pali skórę, to cieszysz się i dziękujesz sobie, że pamiętałeś o spakowaniu kremu do opalania.

Wrzucasz tam wszystko, co uważasz, że przyda ci się w danym punkcie biegu. I oczywiście co się do niego zmieści na dwie osoby. Na Rzeźniku dostajesz trzy worki. Po jednym na każdy punkt. Dzięki temu możesz sobie zapewnić odrobinę luksusu daleko, daleko od startu.

Jeśli umiesz i lubisz biegać z kijami, wrzucasz je do worka „Cisna” (na wcześniejszym, porannym jeszcze tłoczonym odcinku, są one zakazane); jeśli czujesz, że po przebiegnięciu 56 kilometrów przyda ci się czysta koszulka, pakujesz ją do worka „Smerek”, a szampana do worka „meta”.

Ogranicza cię tylko pojemność worka i wyobraźnia. Z przepaków pachnie gotowanymi jajkami, cebulą, przybierają dziwne kształty.

– Kiedyś zdziwiliśmy się, bo poczuliśmy zapach kielbasy. Do tego wyraźnie widać było trzy browary – wspomina Piotr „Keny” Ducki, obecnie głównodowodzący punktem w Smereku. – Brakowało tylko brata bliźniaka na podmiankę – śmieje się.

Krzysztof Dołęgowski jest minimalistą. Ma zasadę, żeby do worka włożyć dużo (na wszelki wypadek), a wyjąć mało. Choć jego życiowa i biegowa partnerka Magda śmieje się:

– Gdyby to zależało od Krzyśka, to on by tam nic nie wrzucał. Jest na trasie woda, jest jedzenie, to po cholere wrzucać cokolwiek do przepaku?

Krzysiek przyznaje, że 168-kilometrowe UTMB przebiegł bez przepaku, choć miał możliwość zostawienia swoich rzeczy na punktach w Courmayeur i w Champex.

– Poradziłem sobie nawet bez zmiany skarpetek! Nie miałem w ogóle nic w razie awarii – opowiada. – To dlatego, że mi się nigdy nie chce myśleć o takich rzeczach – dodaje.

Są zgodni co do tego, iż warto wrzucić do worka trochę rzeczy awaryjnych, rajdy przygodowe nauczyły ich, że zawsze coś może na trasie zaskoczyć.

– Gdyby się jednak okazało, że buty obcierają, dobrze jest mieć inne – stwierdza Magda. – Nic im nie zaszkodzi przeżenie dnia w worku, a mogą uratować twój start.

Według nich w dobrze zorganizowanym przepaku masz podzielone rzeczy: torba z awaryjnymi rzeczami, których nie zamierzasz używać, jeśli nie będzie się działo coś złego, oraz malutka paczuszka tych koniecznych, którą możesz wziąć w całości bez rozsiadania się na przepaku.

W ten sposób nie tracisz czasu.

Worek działa też w drugą stronę – możesz zostawić w nim rzeczy, które wzięłeś na początek, a których później nie będziesz już potrzebował na trasie. Na przykład czółówkę spokojnie możesz zostawić w Cisnej.

Choć ci spieszący się najbardziej zwykle o tym zapominają. Widzisz ich potem w pełnym słońcu na poloninach z głową ozdobioną lampką z tłacym się jeszcze światełkiem.

Worki przyjeżdżają na Smerek już po szóstej rano. Wtedy też zaczynają się tu krzątać wolontariusze. Wysuwają głowy z namiotów, patrzą w niebo, oceniają pogodę. Już po chwili przewalają zgrzewki wody, izotoników, noszą pudła z batonami i żelami. Na polanie staje namiot, w którego cieniu wypiętrzą się góry kanapek. Dalej pojawiają się grządki worków, poukładane w rzędach, numerami, aby można je było łatwo znaleźć jak tylko przyjdzie sygnał, że leci ekipa z numerem 154, 346 albo 12.

Trzeba jeszcze pokazać chłopakom od pomiaru czasu, gdzie mają się ustawić. Niby w pełnej gotowości powinno się być o 9.00, ale zdarzało się już, że powietrze rozdzierał pełen zaskoczenia krzyk:

„Dwóch szybkich leci! Otwierajcie punkt!”

Ci pierwsi rzadko jedzą bułki. Rzadko zagląдают do worków, rzadko zmieniają buty, rzadko siadają, rzadko zagadują wolontariuszy. Oni przez przepak przebiegają jak huragan, porywają worek i prawie natychmiast go oddają, z bananem w zębach nalewają wody do bidonu, biorą lyk izotoniku.

Dość często mają własną obsługę, która podaje im żele, izotoniki, dolewa wody, zmienia plecak ... I już ich nie ma. Rzadko spędzają na punkcie więcej niż kilka niezbędnych minut. Chyba że trzeba się wykaraskać z beznadziejnego samopoczucia.

Wtedy leżą i liczą sekundy.

– Tam jest rzeka. Zawsze zakładam, że jak będzie gorąco, to sobie poleżę. To się zdarza praktycznie za każdym razem. Mocno się przegrzewam i traktuję leżenie w lodowatej wodzie jako inwestycję, element prewencji. Spędzam minutę

zanurzony w wodzie, w ubraniu, tylko stopy mi wystają. Leżę, leżę, a czas zwalnia. Z jednej strony się ścigasz, a z drugiej robisz coś takiego. Patrzysz na zegarek, jak czas mija. To jest ważniejsze niż wszystko inne. Doprowadzić się do ładu – opowiada o swojej metodzie Krzysiek Dołęgowski.

Dopiero po jakimś czasie nieśmiało pojawiają się kolejne drużyny. Apogeum jest około godziny 11. Słychać z daleka wykrzykiwane numery: 68, 145, 333 ...

Wszyscy natychmiast chcą jeść, pić, dolać wody do bukłaka, dowiedzieć się, jaki mają czas.

Jest głośno. W ruch idą karimaty, choć wielu wystarcza leżenie na trawie z nogami w górze. Nie wszyscy wstają.

Niestety, przepak bywa też niebezpieczną oazą, z której dostatniego uścisku trudno się wyrwać do dalszej drogi.

Trudnej drogi.

Bo za Smerekiem zaczyna się najcięższa część trasy. Przepak zniechęca do walki, rozleniwia, rozmiękcza serce wojownika, znikają groźne miny, wiatr rozwiewa nie tylko włosy, lecz także ducha rywalizacji.

Jest pan Robert z karetki z pytaniem: „Czy wszystko okej?“, zatroskana rodzina. Znajomi, którzy dotarli tu, aby cię pokrzepić i koniecznie zapytać: „Dasz radę?”

Są też one: żony, dziewczyny, czasem matki, siostry, koleżanki ...

Soccer moms

Widzieliście ją wiele razy. To pewne. Jak dumnie przemierza słoneczne, bezpieczne, zadrzewione aleje swoim SUV-em, gdzieś na amerykańskich przedmieściach. Ma pełny bak, jest ubrana w pastele i koniecznie musi być po trzydziestce. Jeśli siedzi w samochodzie, możesz mieć pewność, że albo jedzie na mecz, albo z niego wraca. Kierunek ruchu łatwo rozpoznać po dziecku siedzącym obok lub na tylnej kanapie SUV-a. To dla niego *soccer mom* odpala swoją furę.

Według anglojęzycznej Wikipedii zwrot *soccer mom* odnosi się do kobiety klasy średniej, zamieszkującej przedmieścia Ameryki Północnej. Spędza ona znaczną część swojego czasu, przewożąc własne (czasem przy okazji też cudze) dzieci w wieku szkolnym na młodzieżowe imprezy sportowe lub inne podobne wydarzenia. Zwrot wszedł do powszechnego użycia w czasie wyborów prezydenckich w USA w 1996 roku.

Ale zanim nadszedł rok wyborczy, *soccer mom* wyszła z podziemia, to znaczy z SUV-a.

W 1995 roku w Denver pojawił się slogan *A Soccer Mom for City Council*. Użyła go Susan B. Casey. I wygrała. Te 51 procent poparcia dało do myślenia kandydatom starającym się o najwyższą władzę w USA. „W kampanii '96 *soccer mom* stała się wyrocznią” – szydził Neil MacFarquhar z „New York Timesa”, i w podobnym tonie dodawał, że jego zdaniem *soccer moms*, mimo całego zamieszania, nie stanowią poważnego bloku wyborczego wśród ponad 50 milionów kobiet uprawnionych do głosowania.

Przeglądając prasę z tamtego czasu, łatwo wyłowić cechy szczególne takiej kobiety. Biała, w wieku 30–50 lat, ze średniej klasy, mężatka, dość mocno zajęta i często poza domem.

Oczywiście *soccer mom* nie jest po prostu *taxi driverem*. Nie o prostą czynność podwożenia bowiem chodzi. Ona współuczestniczy. Od początku do końca. Śledzi zmagania, pomaga, doradza ... Jest matką i trenerką w jednym.

Widzieliście ją wiele razy. Nie tylko w amerykańskich filmach i serialach. Widzieliście ją na ostatnim biegu. Tuż przy trasie, z obowiązkowym aparatem fotograficznym, plecakiem z najrozmaitszymi rzeczami: piciem, batonem lub żelem energetycznym w ręku.

Wypatrującą swojego męża na trasie.

Jest świetnie poinformowana i zorganizowana. Wie, kto już biegł, kogo dopadła kontuzja, na którym punkcie są banany, a na którym karetka zabrała kogoś do szpitala. Zwykle wielokrotnie przemieszcza się po trasie, aby dotrzeć w możliwie najwięcej miejsc.

Być może opisuję właśnie twoją żonę, drogi biegaczu. Bo jak pisał Wojciech Młynarski, a śpiewała Alicja Majewska: *Bo męska rzecz być daleko, a kobieca – wiernie czekać [...] / Męska rzecz – dognać w biegu i uśmierzyć grzywy fal... / Nasza rzecz – stać na brzegu, stać i wierzyć, i patrzeć w dal... ”.*

Tekst popularnej piosenki nie odpowiada rzeźnickiej rzeczywistości; 11 procent wszystkich startujących to kobiety. Ale rzadko kiedy ktoś je w ten sposób wspiera na trasie – *soccer dads* po prostu nie występują w przyrodzie.

Soccer mom to permanentny, całodobowy *backup*. Z naciskiem na słowo *p e r m a n e n t n y*.

– Mąż po biegu jest dla mnie priorytetem, więc ani o sekundę nie przedłużę wypowiedzi, jeśli będzie czekał. Nie ma litości – mówi już na wstępie Juta, która sama siebie nazywa *soccer mom*. W dłoni dzierży telefon. Czeka na sygnał.

Jej mąż w 2015 roku był jednym z 17 twardzieli, którzy ukończyli 24-godzinny Bieg Rzeźnika Ultra na dystansie 140 kilometrów. Jutta była na wszystkich punktach. Wozila rzeczy na zmianę, jedzenie, robiła zdjęcia, kibicowała. Ani na moment nie zasnęła podczas tych 24 godzin. Trwała.

– Jestem jak zjawisko pogodowe – mam tam być. To oczywiste i nie podlega dyskusji – mówi.

– Wsparcie jest bardzo ważne! – mówi Piotr Choroś, wspomniany mąż. – Nie biegnie się samemu. Nie wyobrażam sobie biec takiego dystansu samotnie. Bez osoby, która wspiera. Wiedziałem, że jak dobiegnę na punkt, to zobaczę tam Jutę. Będzie miała moje rzeczy, na przykład różne rodzaje jedzenia czy picia. To ważne, bo często po długim dystansie pojawia się w głowie smak na coś konkretnego. Na przykład na kawałek wędzonego sera czy jogurt. Wiem, że nawet jeśli nie ma tego przy sobie, to jak zadzwonię, ona stanie na rzesach, znajdzie sklep i kupi. A gdy dobiegnę – zachcianka będzie na punkcie.

Dla zawodnika niezwykle istotna jest świadomość, że ktoś stoi i czeka.

– Bardzo tego potrzebuję. Ktoś przyjazny na punkcie, kto porozmawia, pomoże zdjąć plecak, uzupełnić wodę. To megabudujące w trakcie biegu. Ale też przed imprezą. Bo przecież nie zaczyna się wszystkiego w trakcie biegu, jest wiele miesięcy przygotowań – wyznaje Piotr.

Na metę Rzeźnika Ultra wbiegł z Danielem Gajosem. Na tego drugiego też ktoś czekał.

– Ona pilnuje, żebym nie leżał w rowie. – Tak Daniel widzi zaangażowanie swojej dziewczyny w bieganie. – Po tak długim biegu nie jestem samodzielny. Trzeba mi powiedzieć: „Tu masz zjeść, tu się umyć, a tu spać”.

Co dostają w zamian? Uczestniczenie w życiu drugiej osoby, dzielenie z nią emocji, tych najmocniejszych – porażki lub sukcesu. Uważają, że warto to zobaczyć.

– Nie rozumiem takich związków, w których jedna osoba ma totalną zajawkę na bieganie, a druga ma to totalnie gdzieś. Jest to świadome nieuczestniczenie w olbrzymiej części życia – dodaje Anna, *soccer mom*, kolejna dzielna kobieta.

Znają się z widzenia. Między jednym a drugim punktem, jednym a drugim biegiem, czasem wymieniają opinie. Który bieg jest dobrze zorganizowany, gdzie orgi i woło dają dokładną informację, gdzie warto kibicować, a gdzie można dobrze zjeść... Mają własny ranking dobrze zorganizowanych biegów.

I własne priorytety.

Dla nich dobry bieg to taki, w którym łatwo dotrzeć na punkt kontrolny, najlepiej samochodem. A najlepszy jest taki, którego trasa prowadzi po pętli. Ideal-

nie jeśli ma kilka powtórzeń. Można wtedy zostać cały dzień w jednym miejscu. Nie trzeba wozić całego majdanu, no i zdjęcia wyjdą świetne. Nie ma też ryzyka, że się nie zdąży.

Rzeźnik dla *soccer moms* jest fatalny. Długi, liniowy bieg. W dodatku meta i miejsce imprezy na zakończenie też są w różnych punktach. To oznacza długie godziny wyczekiwania i sporo czasu za kierownicą.

We fraku

„Zaczynam wspinać się do góry. W pewnym momencie słyszę dźwięki muzyki i oczom moim ukazuje się surrealistyczny widok: pośrodku podejścia, nieco na uboczu ścieżki wiodącej w górę stoi facet we fraku z kontrabasem i gra – szarpie struny, uśmiechając się tajemniczo do biegnących, którzy z niedowierzaniem przyjmują obecność muzyka i jego instrumentu w takim miejscu. Nieważne, że we fraku, wszak są ludzie, którzy idą w Tatry w szpilach. Ale kontrabas?”¹.

Roman Huzior pojawił się na Rzeźniku jak większość osób – przypadkiem. Żona biegła dwa razy. A gdy Mirek dowiedział się, że Romek gra na kontrabasie w orkiestrze symfonicznej Filharmonii Śląskiej w Katowicach, nie umiał przepuścić takiej okazji. Przecież dźwięki kontrabasu gdzieś na trasie Biegu Rzeźnika to byłaby niezła abstrakcja. A takie abstrakcje Mirek lubi.

Więc Romek zagrał.

Niektórzy byli przekonani, że mają zwidy.

Ze zmęczenia.

Bo co u licha robi ubrany we frak kontrabasista w samym środku gór, tuż za przepakiem, nad rzeczka, opodal krzaczka, u podnóża ostrego podejścia na Smerek? Nie było mu łatwo skompletować listę przebojów.

No bo co można zagrać komuś, kto biegnie swój 56. kilometr i usłyszy nie więcej niż kilkanaście sekund melodii? Romek doszedł do wniosku, że właściwie – wszystko, co się chce.

W czerwcu 2014 roku w krzakach po raz pierwszy zabrzmiały tematy z muzyki popularnej, jazzowej, klasycznej. Czasem ktoś z biegnących coś podrzucił. I tak ponad trzy godziny.

Non stop.

¹ Bartek Pasela, *Być jak Filipides*, źródło cytatu: <http://bycjakfilipides.pl/44-ostatni-akt-czyli-iii-ultramaraton-bieszczadzki>.

Dla porównania – koncerty z orkiestrą symfoniczną trwają około dwóch godzin. Wtedy jednak kontrabasista nie gra cały czas.

– Nie pamiętałem, jak to jest mieć tremę na koncercie z orkiestrą. Tutaj byłem ja, i tylko ja. I choć mój występ nie miał znamion koncertu, tremę miałem ogromną.

Przygoda grania w dziwnych okolicznościach nie skończyła się na koncercie na Rzeźniku. W 2015 roku kontrabasista pojawił się na III ultraMaratonie Bieszczadzkiem. Na 30. kilometrze. Dokładnie w połowie iście rzeźnickiego podejścia na Hyrlatą. Mimo pięknej jesiennej aury temperatura wynosiła nie więcej niż pięć stopni, wbiegający do góry biegacze byli strasznie wymarzni. Było na tyle zimno, że żele nie chciały się wyciskać i jak wspomina jeden z biegaczy: „Tak miotało złem, że miałem wrażenie, że wiatr mi przymarza dłonie do metalowych elementów kijków”².

– Smyczkiem nie dało się grać, ponieważ kalafonia się nie odzywała i nie mogłem w ogóle wydobyć dźwięku. Na kontrabasie można bezpiecznie grać, gdy temperatura wynosi więcej niż piętnaście stopni. To minimum. Więc grałem palcami. Cały czas, czyli trzy godziny. Pod koniec pękały mi pęcherze na palcach. Potem przez dwa tygodnie leczyłem ręce. Ale wiedziałem, że będę miał przynajmniej pół roku przerwy do następnego Rzeźnika – śmieje się Huzior.

Smerek to dopiero początek

– A kiedy wydaje się nam, że to już blisko, że zostało raptem dwadzieścia kilka kilometrów, a my jesteśmy królami życia, dowiadujemy się, że prawdziwy Rzeźnik dopiero się zaczyna – mówi Robert Korzeniowski.

Najpierw trzeba się wdrapać na Smerek (1222 m n.p.m.). To podejście długie i trudne. Zwłaszcza jeśli w żołądku niesie się trochę za dużo, bo trudno było sobie odmówić na przepaku. Robi się ciepło. Czasem gorąco.

Ciągle jeszcze jest daleko.

Tak daleko.

A czas mija wolno.

Idziesz, dookoła ciebie ciągle las, a przed tobą wijąca się ścieżka. Wreszcie wychodzisz ponad linię drzew. Widzisz szczyt. O nie. To jeszcze nie ten. A gdy znajdziesz się już na grani, uderza ogrom przestrzeni. Widać, że ścieżka prowadzi hen, daleko. Czy ona kiedykolwiek się skończy?

² Jakub Abramczuk, źródło cytatu: <http://100hrmax.pl/zawody/umb-2015-czyli-jak-zima-zaskoczyła-biegacza/>.

Biec jest już trudno. Bardzo trudno.

A ustawione tu i ówdzie na sztorc skały nie pomagają zachować biegowego kroku. Ten, komu się uda, czyje nogi znajdą tutaj równowagę – ma przewagę nad pozostałymi. Byleby tylko zachować rytm.

Wieje wiatr i jest tak pięknie, że oczy robią się wilgotne. Jest kosodrzewina, w dole góry pokrywa zielony dywan. Czujesz się, jakbyś był na szczycie świata, chociaż przecież to nawet nie są najwyższe góry Polski.

A cywilizacja? Gdzie ona się u licha podziała? Czy w zasięgu wzroku mieszka ktokolwiek prócz jeleni, dzików, wilków i lisów?

Dla tych widoków warto było się tu wdrapać. Przetrwać kryzys na Drodze Mirka. Jest pięknie, gdy świeci słońce. Jest jeszcze piękniej, gdy daleko na horyzoncie kłębią się niepokojące chmury. Patrzysz przed siebie, widzisz sylwetki ludzi, maleńkie jak ziarenka maku. Nie wierzysz, że ty też się tam znajdziesz. A przecież każdy krok sprawia, że zdobywasz tę nieskończoną przestrzeń.

Chcesz płakać. Chcesz krzyczeć. Śmiejesz się. Masz nawet chęć podskakiwać. Może czasem i podskakujesz w euforii.

Pierwszy raz w Bieszczadach

„Pierwszy raz pojechałem w Bieszczady na Rzeźnika” – mówi połowa zawodników i wolontariuszy. „Bywałam w Bieszczadach w dzieciństwie, potem jako nastolatka” – opowiada druga połowa.

Dla tych pierwszych te góry są miejscem, o którym zupełnie nic nie wiedzą. To dziki teren, w który trudno pojechać, znaleźć nocleg i sklep.

Wśród tych pierwszych znalazła się Magda Ostrowska-Dolegowska, podobnie Marta Barcewicz i Basia Muzyka, która pierwszy zachwyty przeżyła już na Jaśle.

– A jak mój partner, Konrad, pokazywał i mówił, że za kilka godzin będziemy tam, trudno mi było to sobie wyobrazić – mówi.

Marcie Barcewicz wyszło łącznie 280 kilometrów podczas wszystkich biegów rzeźnickiego festiwalu. Jak na nie jechała, wydawało jej się, że Bieszczady to niskie góry z łatwymi podejściami.

Wydawało się.

– Najgorsze są połoniny. Widzisz z daleka kolejny szczyt i wiesz, że masz tam podchodzić. To cię czeka. Widzisz, co będzie dalej – wspomina.

Magda startowała w Rzeźniku cztery razy i chociaż wie, że to na połoninach kryją się największe trudności biegu, co roku wpadała na nich w euforię. Na tę część trasy czeka od samego początku.

Większość się przywiązuje. I wraca. Kuba Lengiewicz też poznał Bieszczady dzięki Rzeźnikowi. Wraca tu od 2006 roku.

– Przywiązanie do tego miejsca przyszło później. Z czasem zauważyłem, że gdy jechałem w Bieszczady, to przełączało mi się coś w głowie. Zostawiało się za sobą wszystkie sprawy i tam człowiek stawał się kimś innym. Żył się tamtym życiem i tamtym czasem. Było się różnymi osobami tu i tam – wyznaje.

Dla tych drugich, którzy przyjeżdżali tu lata temu, Bieszczady to mistyka wspomnień.

– Flanela. W żółto-czarną kratę. – Dla Krzyska Dołęgowskiego to właśnie jest symbol dawnej bieszczadzkiej turystyki z lat 90. Flanelowa koszula nierozzerwalnie kojarzy mu się z pierwszym wyjazdem w te góry. – Znalazłem zdjęcie z mojego pierwszego pobytu w Bieszczadach. To był wyjazd z tatą, miałem wtedy dziesięć lat. Moja pierwsza w życiu podróż w góry. Wiele razy wracałem. Zimą jeździliśmy do bacówek pod Smerekiem czy pod Wielką Rawką, spędzaliśmy tam sylwestra. Poznałem je jak cholera – śmieje się. – W dwa tysiące pierwszym byłem tu też na dużym rajdzie przygodowym. To był dziewięćdziesięciokilometrowy odcinek pieszy. W dużej mierze bez szlaku. Zupełnie inne czasy – wspomina.

Maria Grabowska przyjeżdżała tu jako nastolatka, tutaj też zapłaciła swój pierwszy mandat.

– Rozbiliśmy się nieświadomie na terenie parku narodowego. Wielkie przewinienie, to i mandat wielki. Był tak wysoki, że do końca wyjazdu jedliśmy obrzydliwą zupę grochową. Tylko na to było nas stać. I na lody pistacjowe w Smereku – opowiada ze śmiechem.

Dla Marii Bieg Rzeźnika to powrót w Bieszczady po latach, ponowne ich odkrywanie i zachwycanie się.

– Przypomniałam sobie, jak tu jest pięknie, i że to góry, a nie tylko lasy buczynowe.

Rzeźnik dla wielu był pretekstem do powrotu. Mieli tę przewagę, że wiedzieli, czego można się spodziewać. Że zastaną tu poważne góry, błoto, będzie pusto, dziko, będą lasy i poloniny. Bieg pozwalał im odkrywać to miejsce na nowo. Miejsce, w którym odnajdywali siebie, odkrywali, co jest dla nich ważne. Do takiego wniosku doszedł pewnego razu Sławek Żółkowski.

– Zrodziło się we mnie przekonanie, że to jest to, co powinno się biegać, co się powinno robić w życiu.

Na końcu świata

Połonina Wetlińska jest długa. Zdaje się nie mieć końca.

Lecz kiedy zaczynasz tracić nadzieję, że ta ścieżka na dachu świata kiedykolwiek się skończy, zza skał wylania się jej zwieńczenie. Chatka Puchatka. Schronisko zapomniane przez świat.

Chatka daje ci radość. Wiesz, że za nią zaczniesz się zbieg. I nawet jeśli masz świadomość, iż on też wyciska z oczu łzy bólu i radości, to w tamtej chwili nie liczy się nic innego niż dotarcie do tej drewnianej tratwy na oceanie gór.

Chatkę wybudowało wojsko po II wojnie światowej jako punkt obserwacyjny. Podobno chodziło o ochronę przeciwlotniczą. Wojskowi wyprowadzili się w 1956 roku.

„[...] po jakimś czasie zawładnęli nim harcerze z Krakowa, nazwali »Tawerną« i proklamowali tam na górze Rzeczpospolitą Wetlińską.

Koczowali po cygańsku, po drewno na opał i wodę schodzili kilkaset metrów w dół, do strefy lasu. Po chleb, marmoladę, tanie wino i kawę zbożową »Turek« to już była prawdziwa wyprawa na piechotę do Cisnej.

Romantyzm skończył się, gdy zaczął doskwierać głód i chłód; nic dziwnego, że harcerze po kilku latach porzucili »Tawernę«³.

Od tego momentu opuszczone zabudowania służyły zmarzniętym turystom. Demolka się zrobiła całkowita. Aż w 1964 roku miejsce przejął rzeszowski PTTK i znalazł się gospodarz – Lutek Pińczuk. Polak urodzony w Bośni.

„W 1962 r. przyjechałem już na stałe. Kończyła się budowa Dużej Obwodnicy. W Berehach zaadaptowałem ziemiankę po wojsku. Wówczas zacząłem się interesować Chatką na Połoninie Wetlińskiej. [...] Dogadałem się z prezesem okręgu PTTK Janem Kaliszem i dostałem pieniądze na remont Chatki. Dzisiaj, kiedy bym wiedział, co mnie tutaj czeka, to pewno bym się nie podjął”.

Dość wspomnieć, że materiały na remont targał na górę na własnych plecach.

Potem szef PTTK się zmienił i Lutek na jakiś czas stracił schronisko. Wrócił tu dopiero w połowie lat 80. Znowż zastał ruinę⁴.

Chatka Puchatka to najprymitywniejsze schronisko w Polsce. Gdy wchodzisz do środka, zawsze na początku widzisz ciemność. Dopiero po jakimś czasie oczy przyzwyczajają się do półmroku. Czujesz zimno. Zawsze, a pod stopami masz klepisko. Nie ma prądu, bieżącej wody ani kanalizacji. Przespać się można

³ http://www.grupabieszczady.pl/index.php?option=com_content&view=article&id=182&Itemid=294.

⁴ Źródło: <http://kultura.wp.pl/title,Zycie-nalezy-wyprzedzac,wid,14421178,wiadomosc.html?ticaid=1169a4>.

w dwóch zbiorowych salach. Hula wiatr. Zimą przy ostrym mrozie temperatura waha się w okolicach 10 stopni. Tym sposobem Chatka wygrywa w rankingach na najgorsze schronisko. Mieści się tu także goprówka.

Dawaj, dawaj! Jest moc!

„Te tłumy ludzi wiwatujące na naszą (na pewno tylko na naszą) cześć sprawiają, że mam łzy w oczach. Dławi mnie ucisk w przelyku. Zaczynamy mocno zbiegać, prawie dwa kilometry ostro w dół”⁵.

Dawniej nie kibicowali.

Nie ze złej woli. Po prostu bieganie nie było popularne, a o Biegu Rzeźnika mało kto słyszał.

Nikt z orgów nie zadbał o to, by przed wejściem na szlak dawać ludziom cynk, że będzie bieg, blisko 80-kilometrowy, i że kibicowanie będzie mile widziane.

Nie kibicowali więc. Może przyświecała im myśl, że po górach się nie biega, a jeśli ktoś to robi, to albo szalony, albo głupi, albo jedno i drugie.

A może po prostu nie kibicowali nigdy i nikomu? Nie mieli takiego odruchu. Prostej wiedzy, jak to robić, co krzyczeć, żeby nie było obciachu. Żeby nie wyjść na głupków.

A może mieli zło z kibicowaniem skojarzenia. Stadionowe, wulgarne przyśpiewki i wyrywanie krzesłek przy okazji gola przeciwnej, znieawidzonej drużyny.

Albo się wstydzili. Siebie i znajomych. Że oni tak nieprofesjonalnie wyglądają, a tu gadzietowo-sprzętowo szal pomyka.

Nie chcieli hałasować. W górach nie wypada, nie wolno, to jest źle widziane. Od razu wiadomo, że nie jesteś z górami obyty, skoro drzesz japę. Że żaden z ciebie bieszczadnik, raczej tępy turysta. Chuligan – żeby nawiązać do łatwego stereotypu.

A może w ogóle się nad tym wszystkim nie zastanawiali. Uważali, że skoro im nikt nie kibicował, a przecież tyle w życiu przeszli, to czemu mieliby kibicować innym. I udawali, że nie widzą tych ludzi.

A widok był niecodzienny.

Wprawiał w zdumienie. Zwłaszcza, gdy ktoś jednak zdecydował się przełamać ciszę i zapytać, skąd biegną i dokąd.

Niedowierzenie.

⁵ Adam Banaszek: <http://www.biegusiem.pl/?p=17422#more-17422>.

Przecież to niemożliwe. Piechur robi tę trasę w dwa dni. Dobry piechur. Wytrawny. A ci tutaj nie mieli nic z piechurów. Lekkie buty, niechroniące kostek, małe plecaczki, obcisłe, krótkie spodenki i przewiewne koszulki. Nie zatrzymywali się przy schronisku. Nie pili herbaty. Nie otwierali konserw.

Rankiem 2004 roku w Smereku bieszczadzkim zwyczajem Arek i Mirek krzyczeli „cześć” i „dzień dobry”. Ludzie pytali ich, skąd i dokąd biegną. W głosach czuć było dumę wytrawnego piechura, który rankiem wyrusza w góry: „O, na szlaku o ósmej rano?”, na co Arek odpowiadał: „Tak, tak, lecimy z Komańczy”.

Czasem było mniej przyjemnie, w 2005 roku przebiegający obok Chatki Puchatka Rzeszówkowie usłyszeli: „Patrz synu i nigdy tak nie rób”. To były czasy, kiedy o biegu wiedzieli jedynie goprowcy ze schroniska.

A potem się zaczęło.

Przyjechało kilku kibicować swoim. I obciach przestał być już tak obciachowy. Nieśmiałość taka nieśmiała. Najpierw kibicowali pojedynczo, potem grupami, w bardziej zorganizowany sposób, z okrzykami, transparentami, gadżetami. Znanym i nieznanym biegaczom. Chłopcy i dziewczyny, mężowie, partnerki, ciocie, dzieci, sąsiedzi, kuzyni, krewni i znajomi królika ...

Obcy też.

W słońcu i w deszczu. Z podziwem. I niedowierzaniem. To się nie zmieniło.

Doszło do tego, że trenując wiosną w Bieszczadach, można usłyszeć od mijających, statecznych turystów: „Co, do Rzeźnika trenujesz? Powodzenia!”.

W 2012 roku na Połoninie Caryńskiej Magda Ostrowska-Dołęgowska holowała na lince swoją partnerkę Agę Korpala. Aga bardzo cierpiała, źle czuła się już od dłuższego czasu. Połoniny są miejscem, które może zabić resztki motywacji. Ale nie wtedy, gdy spotka się turystów. Jeśli dzień jest słoneczny i na górę wdrapią się ludzie, nie ma już możliwości, by się załamać.

– Krzyczeli z prawdziwą fascynacją: „Ej, biegną pierwsze dziewczyny! Super! Dawajcie! Dołóżcie im!”. Czuliśmy się jak maskotki biegu – śmieje się Magda.

W Agę mimo cierpienia też wstąpiły nowe siły.

Inaczej się nie dało.

Jest moc!

Dajecie!

Meta niedaleko!

Brawo, brawo!

Jazda!

Jesteście wielcy!...

Tej magii nikt się nie oprze.

„Połonina mija ekspresowo. Ludzie na szlaku są rewelacyjni. Kibicują, robią miejsce. Jest bardzo miło. W oddali widać Chatkę Puchatka, gdzie mijamy kolejną wielką falę kibiców. Dzięki wielkie, może tego czasem nie widać, ale to, co dla nas robicie, naprawdę działa. Na tym przebiegu nasza strata do prowadzących topnieje do 13 min. [...] Turyci są cudowni, kibicują, gratulują, schodzą z drogi. Jak zwykle trochę mnie to rozczuła, coś tam pochlipuję, ale szybko biorę się w garść, bo lzy w oczach wróżą głębę. Zadaję turystom ulubione z rajdów pytanie »daleko jeszcze?«. To taka forma głupawki zmęczeniowej, ale też możliwość odezwania się”⁶ – wspomina Magda Łączak. Budzili z Pawłem Dybkiem szczególne poruszenie. W 2015 biegli po rekord miksów. Rekord wręcz nieprawdopodobny. Do Ustrzyk dobiegli w jako pierwsi, w czasie 8:22:56, poprawiając poprzedni najlepszy wynik miksów aż o 65 minut. A na połoninach biegli jako czwarty zespół. Ludziom trudno było wierzyć, że tak mała kobieta może być tak silna. I szybka.

Doping dodaje skrzydeł, uśmierza ból, podładowuje baterie, pobudza. Motywuje do dalszej drogi. Wbrew podszeptom zmęczonego ciała roznieca w głowie przekonanie: „Dam radę”.

Może wywoływać gęsią skórkę, wzruszenie (jawne bądź skrywane), uśmiech.

Doping zmniejsza poczucie osamotnienia.

Skraca dystans. Jest w nim magia wzajemności i współdzielenia emocji. A wszystko sprowadza się do prostej obecności. Tu i teraz.

⁶ Źródło: <http://www.magazynbieganie.pl/bieg-rzeznika-2015-relacja-magdy-laczak/>.



Już ze trzy razy obiecywałam sobie, że więcej nie wezmę udziału w Biegu Rzeźnika. I mimo to na starcie tej imprezy stawałam czterokrotnie. Jest w niej coś magicznego, to trudny do określenia fenomen. Może tworzy go historia zaczynająca się zakładem o skrzynkę piwa? Może Bieszczady, góry dzikie i nieokiełznane, a może to satysfakcja wypływająca ze zmierzenia się z najlepszymi zawodnikami w Polsce? Chyba jeszcze nieraz będę się nad tym zastanawiać, biegnąc ostatkiem sił przez połoniny. Ania i Piotrek zabrali mnie w podróż po tych zakamarkach Biegu Rzeźnika, do których nogi nigdy nie zdołałyby mnie ponieść.

Magda Ostrowska-Dolęgowska, współautorka książki *Szczęśliwi biegną ultra*

Po pierwszym Biegu Rzeźnika pokochałam góry bezgranicznie. Dla mnie, typowego mieszczaucha, wcześniej były one dalekie, tajemnicze, dzikie i trochę zniechęcające przez zimowe treningi piłki nożnej, gdy po górach biegało się jak za karę. *Rzeźnik* to opowieść o tym, co nadal niepoznane. To szansa na miłe wspomnienie bólu, który najpierw cholernie doskwiera, a potem pozwala pękać z dumy. Dzięki Annie i Piotrowi wiem o bieszczadzkiej krainie jeszcze więcej. I znów tęsknię za werblami na starcie, za bieszczadzkim braskiem, pysznymi bułkami w Smereku, niezapomnianymi widokami na połoninach i czasami nawet za tą wredną Drogą Mirka. Bo Rzeźnik to miłość na całe życie. Kto spróbował, ten wie. Kto nie próbował, niech czyta! Zakład, że pobiegiesz?

Marcin Rosłoń, dziennikarz nc+, redaktor naczelny magazynu „ULTRA”

Patroni medialni:



www.galaktyka.com.pl

ISBN: 978-83-7579-513-4



Cena: 39,90 zł (w tym 5% VAT)